

GDZIE SPORTOWCY Z TAMTYCH LAT ?

Część 1



Zdjęcie autora z 2007 roku. Dawny pałacyk Alfreda Dietla, określany też jako „Bramne przejście” stojący przy obecnej ulicy Stefana Żeromskiego. A po 1945 roku od drugiej kondygnacji aż pod sam dach mieściła się w nim siedziba Klubu Sportowego „Włókniarz”.

W ostatnich co najmniej kilkudziesięciu latach na temat powojennych wyczynowych sportowców z sosnowieckiego Klubu Sportowego „Włókniarz” – koszykarzy, siatkarzy, piłkarzy ręcznych i lekkoatletów - w publicznych przekazach nie pojawiały się już prawie żadne informacje. Co jest jednak ciekawe ?...O ile ten temat już ktoś w końcu podjął, to była nim wyłącznie osoba w ogóle niezwiązana z profesjonalnym sportem wyczynowym, bądź historyk z tylnego fotela tej profesji, czy celebryci, by zaistnieć w przestrzeni publicystycznej. Autor jako były wyczynowy sportowiec z tamtych odległych już lat, postara się więc tę tematykę znacznie przybliżyć, nie tylko oczami profesjonalisty, ale z ludzkiego też punktu widzenia. Jestem bowiem kierownictwu KS. „Włókniarz” i trenerom z tego klubu oraz też zawodniczkom i zawodnikom, dzisiaj zupełnie już w Sosnowcu zapomnianym, jednak coś za swego życia jeszcze winien. Przede wszystkim dogłębną wdzięczność za spędzone w ich towarzystwie najpiękniejsze sentymtalne i romantyczne młodzięcze lata.

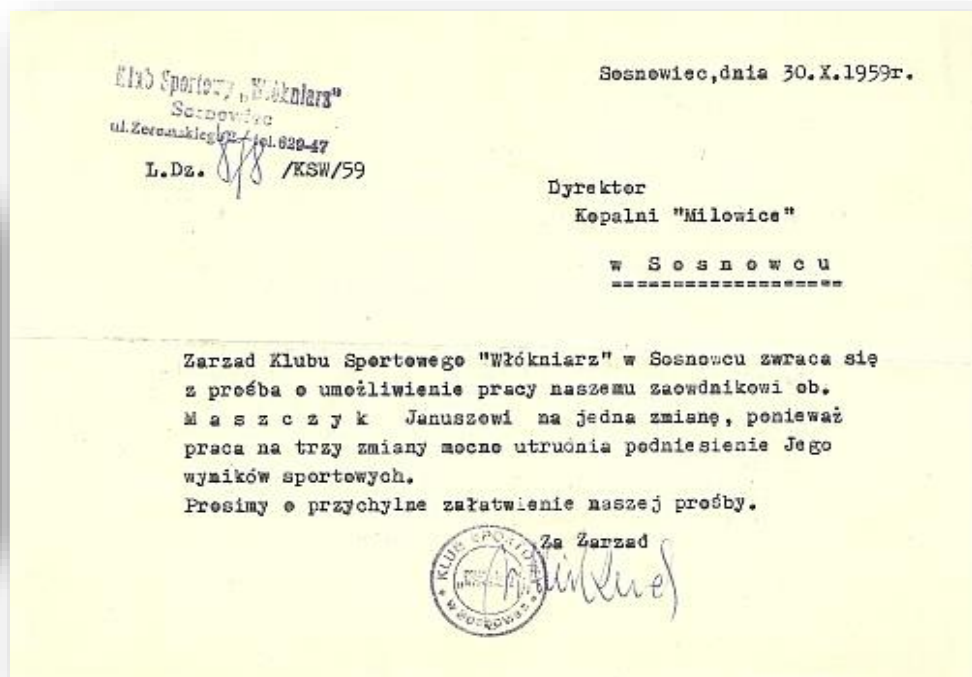
Do Klubu Sportowego „Włókniarz” ostatecznie i już na dobre, dotarłem gdzieś około 1953 roku i to na co najmniej kilka lat. Choć jako prawnie niezrzeszony z tą organizacją sportową, bywałem tam już jako licealista ze „Staszica” znacznie wcześniej i to nawet wielokrotnie. Funkcjonowała bowiem już po 1945 roku pomiędzy Klubem Sportowym „Włókniarz”, a licealistami i absolwentami ze „Staszica” niewidzialna nić porozumienia i wzajemnej też korelacji oraz sympatii, która później przerodziła się w obopólną potrzebę takiej współzależności, że sami uczniowie, niezachęceni nawet przez nauczyciela z wychowania fizycznego, licznie garnęli się do tego klubu sportowego i tworzyli w nim przez długi okres czas trzon profesjonalnych wyczynowych sportowców w Sosnowcu. Możliwe, że to początkowe obopólne powiązanie, niewidzialnymi jednak nićmi pajęczyny, a później promieniujący uczniowski sentyment, brał się z przyczyn czysto prozaicznych. Wynikał bowiem z bliskiego obok siebie położenia tych dwóch instytucji i to niemal na wyciągnięcie przyjacielskiej i pełnej ludzkiej wdzięczności ręki. Wszak zarówno liceum jak i sekretariat tego klubu sportowego mieściły się jeszcze wtedy dosłownie przy tej samej króciutkiej i niezwykle też jeszcze wówczas urokliwej uliczce – Stefana Żeromskiego. Opiewanej przez przedwojennych jeszcze geografów z Zagłębia Dąbrowskiego, jako najpiękniejszej uliczce typu wąwozowego nie tylko z terenu samego Sosnowca ale i z Zagłębia Dąbrowskiego. Oczywiście do tego czasu zanim nie wyburzono wzniesionych tu przez wiele poprzednich lat – wielu budowli i ceglanych murów jakie odgradzały Park Dietla od tej ulicy. Członkami tego klubu na przestrzeni lat 40. i 50 XX w. było więc co najmniej kilkudziesięciu licealistów i absolwentów ze „Staszica”, którzy nie wiem z jakiej przyczyny, ale w opublikowanych wspomnieniach w latach 1969 i 1984, zwanych „Księgami Pamiątkowymi” z liceum „Staszica”, zostali w tych wydaniach w większości przypadków całkowicie pominięci. Poza tylko dwoma absolwentami: Jurkiem Winnickim i Andrzejem Wesołym, których osiągnięcia sportowe też jednak na kartach tych wspomnień potraktowano marginalnie. W moim przypadku dobrym duchem inspirującym do podjęcia ostatecznej decyzji by podjąć treningi w KS. „Włókniarz” był starszy ode mnie wiekiem mój kolega, niezwykle zresztą przyjacielsko do mnie wtedy ustosunkowany, ale z tego samego też co i ja sosnowieckiego liceum „Staszica”. Znakomity zresztą koszykarz, Jerzy Sprzączkowski (rocznik absolwencki 1952/1953). Propozycję występowania w barwach KS. „Włókniarz” zaakceptowałem więc wtedy natychmiast i to bez zmruczenia oka, z wielką też satysfakcją i radością. Dzisiaj już trudno ocenić, czy owocem tej spełnionej przeze mnie propozycji było to, że od tej pory Jurek Sprzączkowski wielokrotnie już oczekiwał na mnie w godzinach rannych, na skrzyżowaniu uliczek: Nowopogońskiej z Raclawicką, by później już wspólnie podążać na zajęcia szkolne do „Staszica”. Te przyjacielskie spotkania, po latach zawsze wspominam z ogromną nostalgią. Siedzibę kierownictwa Klubu Sportowego „Włókniarz” już z wieloma szczegółami opisałem w moich opublikowanych artykułach. Obecnie więc, w tym artykule, tylko w telegraficznym skrócie przypomnę najistotniejsze szczegóły związane z sekretariatem tego klubu sportowego.

* * * *

W tym pięknym niczym pałacyk budynku, pośród ekskluzywnych salonów i królewskiej łazienki, sam sekretariat klubowy mieścił się tuż, tuż obok, jednak w odrębnych pomieszczeniach, nie tak majestatycznych jak te wymienione. Do bezpośredniej dyspozycji klubowej zarezerwowano bowiem zaledwie tylko dwie prawie identyczne powierzchniowo izby. Co nie znaczy, że pozostałe fabrykanckie pomieszczenia oddano w użytkowanie komu innemu. Wręcz odwrotnie stanowiły też integralną własność klubową, wiecznie jednak wiejące pustką i jakby brakiem też intelektualnego zainteresowania. O sportowych inklinacjach nie wspominam, gdyż zawodnicy z tego klubu bywali tam raczej rzadko. Większe ich grupy pojawiały się tylko z okazji corocznych zebrań sprawozdawczych, czy z innych jeszcze wyjątkowych okazji. W jednej więc izbie wykonywał swą pracę tylko dwuosobowy sekretariat, a w kolejnej przejściowej izbie, był już tylko magazyn na sprzęt sportowy.

Kierowniczką sekretariatu klubu była wtedy pani Jezierowska (imię ?), nota bene małżonka ówczesnego prezesa K.S. „Włókniarz”, pana Przemysława Jeziorowskiego. Kobieta niezwykle miła i przyjaźnie ustosunkowana do każdego sportowca. Osoba niezwykle kulturalna, inteligentna, o niezwyklej też dobroci i wrażliwości społecznej, doskonale znana też mojej mamie, Stefani Maszczyk, która tej pani podobną wystawiła złotą laurkę jak i autor tego artykułu. Pomocą tej pani w sekretariacie początkowo służyła, jakaś nieznaną mi wtedy lekkoatletka.

Już w połowie lat 50. XX wieku sekretariat był tylko jednoosobowy i mieścił się wówczas na samej górze tego urokliwego budynku, w malutkim usytuowanym tam pokoiku. To malutkie zawieszane niemal pod sufitem pomieszczenie kiedyś przez wiele, wiele lat, ponoć tylko służyło zapraszanej przez państwo Dietel orkiestrze na organizowane w salonach z pełną pompą fabrykanckie bale. Docierało się do niego z jednego z rozległych urokliwych salonów, po dodatkowym jeszcze pokonaniu kilkudziesięciu pięknie wypolerowanych drewnianych schodach. Ten zawieszony na samej górze stosunkowo długi i wąski pokoik był wkomponowany w ciągnący się łukowato drewniany balkonik od strony głównej bryły pałacu i ulicy Stefana Żeromskiego. Całość tych pnących się majestatycznie schodów i drewnianej lśniącej poręczy, podobnie jak i zawieszonożę z ręcznie pod sufitem balkoniku, wykonane były z tego samego mahoniowego gatunku drewna. Nie mogłem tego zjawiska absolutnie nigdy pojąć, ale w tych przestronnych wręcz hrabiowskich pomieszczeniach, gdzie osoba ich nieznaną mogła się nawet zagubić, jedyną dosłownie sekretarką już od połowy lat 50. XX wieku była moja koleżanka klubowa, znakomita zresztą lekkoatletka, pani W. M. A tak, to te wszystkie hrabiowskie pomieszczenia usytuowane na górnych piętrach, a przyznane od tak klubowi „Włókniarz”, całymi miesiącami wionęły przeraźliwą i krzyczącą pustką, wołającą o rozsądek do nieba, poza chyba tylko sporadycznie dzwoniącym telefonem o numerze: 629 - 47 i szeptanymi doń informacjami mojej koleżanki klubowej.



Po lewej stronie oryginalna koperta z lat 50. i pierwszych lat 60. XX w. oraz pieczęć klubowa o treści: „Klub Sportowy „Włókniarz” Sosnowiec ul. Żeromskiego 2 (na pieczęci brak imienia znanego polskiego pisarza ?) telefon: 629 – 47. Po prawej, pismo do KWK „Milowice”, by umożliwiono autorowi wykonywanie pracy fizycznej w podziemiach kopalni, nie na trzy zmiany, ale tylko na jedną zmianę, czyli od godz. 6,00 do 14,00.

Z tego właśnie sekretariatu pochodzi powyższe pismo. Pismo jest o tyle ciekawe i powinno też wzbudzić znaki zapytania u dzisiejszych wyczynowych sportowców, gdyż już wówczas byłem koszykarzem z pierwszoligowego Klubu Sportowego „Sparta” w Nowej Hucie. Do tego jeszcze pierwszym koszykarzem w dziejach Sosnowca i Zagłębia Dąbrowskiego, który grał na parkietach pierwszoligowych. Jak się jednak okazuje, to wówczas na takie zasługi sportowe absolutnie nie zwracano uwagi, gdyż musiałem wykonywać pracę fizyczną taką samą jak każdy górnik, do tego jeszcze na trzy zmiany, co ogromnie kolidowało z treningami i ówczesnym sobotnio – niedzielnym system koszykarskich spotkań. Może jeszcze warto przypomnieć, że w podziemiach tej kopalni nigdy nie traktowano mnie w jakiś sposób wyjątkowy, tylko tak jak każdego górnika, który musiał codziennie w całości wykonać zleconą mu fizyczną pracę. Tematykę związaną z górnictwem i moje perypetie w podziemiach Kopalni „Milowice” opisałem w artykule: **„Szczęść Boże Zagłębiaku”**.

* * * *

Mówiąc prawdę, ilekroć tylko bywałem w tym jednoosobowym sekretariacie, gdzie echa naszych rozmów niosły się po ścianach, to mimo woli zawsze się zastanawiałem dlaczego te ekskluzywne i przestronne salony wraz z hrabiowską łazienką przyznano tylko klubowi sportowemu, a nie zamieniono ich, podobnie jak i dolne pomieszczenia, na potrzeby sosnowieckiego muzeum. Czy decydowała o tym wyłącznie tylko ówczesna polityka, czy zwykła mierność ludzi, którzy sprawowali wówczas władzę w Sosnowcu.

Prezesem klubowym, co już wyżej zasygnalizowałem, był raczej rzadko wówczas widywany w pomieszczeniach sekretariatu, pan Przemysław Jeziorowski. Nota bene, sprawujący też wówczas obowiązki dyrektora naczelnego dawnego wełnianego przedsiębiorstwa państwa Dietel. Fabryki ciągnącej się jeszcze wówczas na stosunkowo dużym obszarze po drugiej stronie ulicy Stefana Żeromskiego, teraz już firmy całkowicie znacjonalizowanej o skróconej nazwie **„Politex**. Pan Przemysław Jeziorowski podobnie jak jego zacna małżonka sprawował funkcję prezesa klubu tylko do połowy lat 50. XX wieku. Kto po nim przejął schedę prezesowską o tym się nigdy, ani publicznie, ani też w kularach klubowych nie wspominało. Pan Przemysław Jeziorowski był osobą średniego wzrostu, przynajmniej w porównaniu do mojej 188 centymetrowej postury. Swą postawą przypominał raczej jowialnego pełnej kultury i inteligencji oraz elokwencji dyplomatę, niż typowego jak na tamte czasy działacza sportowego. Już wówczas dysponował glejtem dyplomowanego sędziego o statusie międzynarodowym. W tym miejscu pragnę podkreślić, że w Sosnowcu takim niezwykle sędziowskim dyplomem mógł się wówczas poszczycić tylko pan Przemysław, a w Polsce taki status posiadało wtedy zaledwie tylko kilka osób. Ilekroć tylko miałem okazję z nim zamienić choćby tylko kilka zdań to zawsze sprawiał wrażenie człowieka niezwykle życzliwego. Jako człowiek nad wyraz uwielbiający lekką atletykę, jego jedynym ukochanym dzieckiem w tym klubie była więc w zasadzie tylko ta sekcja, której zresztą poświęcał się bez reszty, a inne raczej tylko tolerował. Był człowiekiem wielkiej sportowej innowacji. Już więc w 1946 roku zorganizował w Sosnowcu wielką imprezę lekkoatletyczną na stadionie sportowym KS. „Włókniarz” przy Alejach M. Mireckiego. Znakomitą ozdobą tego mitingu była znana w całym świecie wybitna polska sportsmenka, **Stasia Walasiewicz**, która na to spotkanie przybyła do Polski, aż z USA. Biegła wtedy na 100 metrów po żwirowej jeszcze wówczas bieżni, która była usytuowana wzdłuż stadionu KS. „Włókniarz” od strony ulicy Józefa Piłsudskiego i jak zwykle zajęła pierwsze miejsce. Mój przyjaciel lekkoatleta i piłkarz ręczny z KS. „Włókniarz” – **Zdzisiu Wójcik** – wspominał wiele lat temu, że brakowało jeszcze wtedy dostosowanego do zawodów lekkoatletycznych typowego jak obecnie startera. Prowadzący więc biegi sędzia, w tym konkretnym jednak przypadku bieg krótki na 100 m, posługiwał się więc wówczas normalnym wojskowym pistoletem, typu „TT”, popularnie określnym, jako „tetetka”. A

naczelnym sędzią tego meczu był oczywiście nie kto inny jak właśnie pan Przemysław Jeziorowski. W tym czasie Stasia Walasiewicz miała już za sobą około 40. lat ziemskiego życia.

U Państwa Jeziorowskich bywałem w pierwszych latach 50. XX wieku przynajmniej kilka razy, gdy jeszcze wówczas mieszkali w blokach dietlowskich, chyba na pierwszym piętrze, przy dzisiejszej ulicy 3 Maja i zawsze te pobyty wspominam z ogromnym sentymentem. Przypominam sobie jak pani Jeziorowska jako jeszcze młodziutka osoba, z ogromną troską opiekowała się wtedy dwoma małutkimi córeczkami.



Zdjęcie autora z 2007 lub 2009 roku.

*Za PRL ulica **Czerwonego Zagłębia**, obecnie **ulica 3 Maja**. Ciągający się segmentowiec to dawne dietlowskie osiedle mieszkaniowe. W jednym z segmentów tej budowli w pierwszych latach 50. XX w. mieszkali państwo Jeziorowscy. Bywałem wówczas w ich mieszkaniu wielokrotnie. O ile mnie pamięć nie myli, to goszczono mnie wtedy w izbie określanej jako pokój gościnnie, która się mieściła na drugiej kondygnacji, a okna z tego pokoju wychodziły na widoczną obecnie nasyconą kolorami ulicę 3 Maja.*

Ostatni raz w moim długim życiu widziałem pana Przemysława na turnieju lekkoatletycznym ogólnopolskim, na stadionie AKS w Chorzowie. W turnieju tym startował też wtedy mój syn, Adam Maszczyk, który jako lekkoatleta z AZS AWF w Katowicach rzucał wówczas oszczepem. Było to gdzieś w latach 80. XX wieku. Już wtedy, o ile mnie pamięć nie zawodzi, to podobno pan Przemysław przekroczył już 80. lat. Jak na ten zaawansowany w życiu każdego człowieka wiek, prezentował się jednak doskonale i to zarówno pod względem fizycznym jak i sprawnością umysłową. Stał kilkanaście metrów dalej na trybunach w towarzystwie kilkoro nieznanym mi jednak osób. Po wielu latach niewidzenia się, poznał mnie jednak doskonale i natychmiast jak to bywało też dawniej z szerokim uśmiechem podszedł do mnie. Był ogromnie tym spotkaniem wzruszony, to się wyczuwało, i jak zwykle też niezwykle serdeczny. W trakcie wymiany sentymentalnych wspomnień, gdy tylko dowiedział się, że mój syn – Adaś - studiuje w Akademii Wychowania Fizycznego w

Katowicach, to natychmiast, bez zastanawiania się zaproponował mi jak zwykle życzliwie, udostępnienie szczegółowych notatek o charakterze monografii o Klubie Sportowym „Włókniarz” w Sosnowcu, które ułatwiłyby mojemu synowi napisanie pracy magisterskiej. Jednak już wtedy Adam był zaawansowany w opracowaniu tematu magisterskiego ale o innej treści. Wspominał również, że posiada jeszcze kilka podobnych udokumentowanych rodziny o sosnowieckich i zagłębiowskich organizacjach sportowych. Dzisiaj ogromnie tego żałuję, że nie podjąłem wtedy podanej mi życzliwie pałeczki sportowo - wspomnieniowej. No cóż ! Możliwe, że przysłowie – „*mądry Polak po szkodzie*” – w tym przypadku jest całkowicie uzasadnione. Podobno pan Przemysław zmarł dopiero w wieku około 90. lat. Możliwe, że w jego rodzinie jednak zachowały się te cudowne sportowe wspomnienia ?..... Któż to wie.

* * * *

Tematyka jaką obecnie mam zamiar w tym artykule opisać jest niezmiernie skomplikowana i obszerna. Poszerzę ją więc i to znacznie w trakcie opisów poszczególnych sekcji, ale w odrębnych kolejnych już odcinkach zatytułowanego artykułu – „GDZIE SPORTOWCY Z TAMTYCH LAT”. Do 1955 roku jedynym dosłownie trenerem w tym wielosekcyjnym już klubie sportowym (sekcja męska i żeńska lekkiej atletyki oraz sekcje męskie: koszykówki i siatkówki) był pan Józef Deżakowski. W porównaniu do lat współczesnych, treningi więc we wszystkich sekcjach - mimo woli - miały raczej charakter archaiczny, a wynikało to z nieskończenie wielu aspektów. Zawodnicy z sekcji męskiej: siatkówki i koszykówki, całkowicie pozbawieni profesjonalnych trenerów, doskonalili więc swoje umiejętności głównie na treningach, w ten sposób, że do upadłego pasjonowali się tylko grą pomiędzy sobą. Natomiast sprawność fizyczną, ale tylko niektórzy z nich, doskonalili na treningach specjalistycznych – lekkiej atletyki. Pod względem technicznym i taktyki gry pozostawali więc daleko, daleko w tyle w porównaniu do takich klubów sportowych, które już posiadały trenerów w tych sekcjach wyczynowego sportu.

Z kolei nad sekcją lekkoatletyczną, niezwykle zresztą skomplikowaną ze względu na różnorodność dyscyplin, pieczę sprawował dosłownie tylko jeden, jedyny trener – pan Józef Deżakowski. Co obecnie w każdym lekkoatletycznym klubie sportowym jest nie do pomyślenia. Później dopiero dołączy do niego jeszcze drugi trener pan Legawiec (imię?), o czym znacznie więcej poniżej. Pan Józef Deżakowski jednak uwielbiał też grę w siatkówkę i koszykówkę, mimo, iż do intensywnych wysiłków fizycznych raczej się zbytnio nie przykładał, w przeciwieństwie do samych zawodników – swoich współpartnerów - którym nie darował żadnej wolnej chwili na treningach lekkoatletycznych i wyciskał z nich strumienie potu. Z tego co pamiętam, to pan Józef Deżakowski czynnym zawodnikiem w sekcji siatkówki był jednak tylko przez okres bardzo krótki. Natomiast znacznie dłużej bowiem aż do 1955 roku pasjonował się koszykówką. Po prostu tę dyscyplinę sportową, jak już wspominałem – widocznie też uwielbiał. W tym okresie czasu był więc też moim koszykarskim współpartnerem, grającym jednak na pozycji rozgrywającego, a ja byłem wtedy „środkowym”, czy jak to wtedy powszechnie określano – grałem na pozycji koszykarskiej jako „center”. Ponieważ nie posiadaliśmy wówczas profesjonalnego trenera w tej sekcji, więc pan Józef, ze względu na wiek, mimo woli starał się też kierować całym zespołem. Nie zawsze się to jednak z pozytywnym skutkiem udawało. Pamiętam takie niefortunne mistrzowskie mecze, między innymi z Tarnowskich Gór i Bytomia, gdzie na gwałt szukano winnego jednak nie tam gdzie należało. A prawda tkwiła w czym innym. Dopiero w pierwszych latach 50. XX wieku (rok ?) do sekcji lekkoatletycznej dołączył jeszcze drugi trener, a był nim znany mi jeszcze z Katowic, pan Legawiec (imię), który w zasadzie jednak opiekował się tylko dziewczętami i to tylko w wąskim kręgu specjalizacyjnym. Samym skokiem w dal. Z tego co zapamiętałem, to służył też jednak radą dziewczętom i chłopcom skaczącym wzwyż, jednak im nie poświęcał aż takiego sportowego uwielbienia jak tamtej dyscyplinie sportowej.

Prawdopodobnie wynikało to z przyczyn czysto prozaicznych. Jego bowiem ukochana córka Basia, już w Katowicach, gdy jeszcze była zawodniczką w Klubie Sportowym „Stal” to osiągała bardzo dobre wyniki w skokach w dal. Również więc i w „Włókniarzu” wiodła prym w tej lekkoatletycznej dyscyplinie, podobnie jak i w innych, szczególnie w biegach krótkich (bieg na 60 i 100 metrów) oraz w biegu przez płotki.

Pan Józef Deżakowski, był wówczas mieszkańcem dietlowskiego osiedla fabrycznego, podłużnego segmentowca stojącego przy dawnej ulicy Parkowej.

3



Zdjęcie autora z 2007 roku. Dietlowskie osiedle mieszkaniowe położone w pobliżu dawnego traktu uliczki Parkowej. To na tym osiedlu przez wiele lat mieszkał pan Józef Deżakowski. Pierwszy segment od strony obecnej ulicy 3 Maja, identyczny jak widoczne na zdjęciu, już jednak w latach 70. lub 80. XX wieku wyburzono.

Jak na zaawansowane już lata, był jednak mężczyzną niezwykle jeszcze sprawnym fizycznie. Przypominam sobie, że bardzo uwielbiał też jogging, który wówczas był określany mianem „terenowych marszo - biegów”. Przez kilka więc lat w niedzielne poranki, zaraz po Mszy Świętej, z grupą towarzyszących mu sportowców najpierw wybiegaliśmy z hali sportowej (dawna ujeżdżalnia koni państwa Schoen), która mieściła się wówczas na bulwarach nadrzecznych „Placu Schoena”, by końcowy cykl specjalistycznych ćwiczeń sprawnościowych zakończyć już na terenie parku obok pałacu Schoena. Jeszcze wówczas cała śródlukowa posiadłość państwa Schoen była ogrodzona, tak jak dawniej przez całe dziesiątki lat. Jednak dawni stróże gdzieś się zagubili, a nowi jako już nie stróże ale dozorczy pilnowali tylko pałacu. Na te kiedyś prywatne przez całe lata tereny, docieraliśmy wtedy poprzez dziurę w siatce ogrodzeniowej jaka mieściła się przy rzece Czarnej Przemszy, tuż, tuż obok drewnianego mostka na bulwarach nadrzecznych „Placu Schoena”. Dzisiaj w tym miejscu jest już mostek żelbetowy, a dawna dotąd cicha i urokliwa aleja schoenowska wijąca się pod górkę w kierunku ulicy Będzińskiej, została już zamieniona na gwarną uliczkę Śnieżną. To wtedy właśnie po raz pierwszy bardzo dokładnie poznałem tajemnicze zakamarki tego uroczonego parku, który od dzisiejszej uliczki Chemicznej był jeszcze odgradzony kilkumetrowym murem wraz pergolami. Do wnętrza ekskluzywnego pałacu, opuszczonego już wtedy przez państwo Schoen jednak już nie

dotarłem, gdyż jeszcze był solidnie zamknięty na klucz, a na zewnątrz strzegli go całodobowo, czy tylko udawali, że strzegą - dozorczy. Już jednak niebawem nastąpi, trudna nawet do opisanego w kilku zdaniach dewastacja, zarówno parku jak i pałacu oraz innych jeszcze zabudowań państwa Schoen. Absolutnie jednak nielicząca z kulturą i z przesadnymi aspiracjami miejskimi ówczesnych władz dawnej na Środulce fabryki włókienniczej państwa Schoen.

* * * *

W Klubie Sportowym „Włókniarz”, poza wymienionym już wyżej prezesem i trenerami, podobnie jak i w innych tego typu organizacjach sportowych, był też powołany specjalnym statutem Zarząd Klubowy. Niestety ale ja nigdy nie miałem zaszczytu i przyjemności poznania większości tych osób. Tylko niektórych poznałem i to po raz pierwszy i ostatni raz w swym życiu, w trakcie jedyne go pochodu jaki zorganizowano z okazji Święta 1 Maja. W tej defiladzie brałem też wtedy udział z flagami białymi czerwonymi i resortowymi Klub Sportowy „Włókniarz”, co prezentuję poniżej na trzech kolejnych zdjęciach. Na tych samych zdjęciach zostały też utrwalone moje koleżanki i koledzy - zawodniczki i zawodnicy z sekcji lekkoatletycznej, siatkówki i koszykówki.

Nie zapominajmy jednak o tym, że były to jeszcze powojenne lata, jakże pełne niedostatków, czy wręcz nawet ludzkiej biedy. A Polska na dodatek tego, nie zaleczyła jeszcze okupacyjnych ran. W Sosnowcu więc mimo powszechnego zatrudnienia i braku bezrobocia, co należy uczciwie i dobitnie pokreślić, brakowało jednak w sklepach niemal wszystkiego. Ten okres moje pokolenie i starsi ode mnie wiekiem, zapewne więc pamiętają doskonale. Ogromne wprost braki i to niemal dosłownie wszystkiego, występowały szczególnie w specjalnie do tego celu wytypowanych sklepach, gdzie mogły się tylko zaopatrywać przedsiębiorstwa, określane wtedy jako „jednostki gospodarki uspołecznionej” (j.g.u). W innych natomiast sklepach, przeznaczonych do tak zwanej sprzedaży detalicznej, czyli dla społeczeństwa, zakup przez znacjonalizowane już wtedy przedsiębiorstwa i przeróżne organizacje, jakiegokolwiek tylko rzeczy był karalnie zabroniony. Uczciwie jednak należy zaznaczyć, że również i te przeznaczone do sprzedaży detalicznej sklepy, najczęściej też świeciły pustymi półkami, a za ladą stała wiecznie znudzona i obgryzająca paznokcie ekspedientka.

Zachętą do brania udziału w tym pochodzie „pełnym szczęścia i radości” – przynajmniej w moim przypadku - był podarowany wełniany dres z połyskującymi aluminiowymi zamkami błyskawicznymi, umocowanymi na spodniach i w bluzie. Takie same piękne i niespotykane w sportowym otoczeniu dresy otrzymały też wtedy wszystkie inne osoby, które tylko wyraziły zgodę na wzięcie udziału w tej manifestacji pierwszomajowej. Jak pamiętam, był to jedyny taki powojenny zakup, zresztą nadzwyczajny na tę konkretną okoliczność. Podobno te rarytasy pozyskano w wyniku wyjątkowej międzyresortowej koneksji fabrycznych zakładów pracy z branży włókienniczej. W tym celu do Fabrycznej Łodzi, po te dresy, a zwane wtedy owerolami, udała się nawet specjalna zakładowa partyjna delegacja, która uzgodniła warunki ich wykonania i finalnego zakupu. Jak później w kularach klubowych szeptano, miały ponoć służyć jako wabik zaofiarowany każdemu kto tylko weźmie udział w tym pochodzie. Przy występującej wówczas w polskim społeczeństwie biedzie, co już wyżej zasygnalizowałem, która objęła swymi mackami niemal każdą rodzinę, ten podarunek powitaliśmy więc niczym Dar Bożego Miłosierdzia. Górna więc część tego sportowego odzienia służyła wielu nam później jako wykwinny strój randkowy i paradny na wszelkich potańcówkach licealnych i w trakcie odwiedzin w kawiarni „**Rex**” jak i „**Savoy**”, co z kolei ze strony kierownictwa klubu było zdecydowanie negowane, wręcz nawet napiętnowane. Przewidywano bowiem, że pozyskane w drodze porozumień resortowych tak piękne wełniane odzienia powinny sportowcom służyć co najmniej przez kolejnych kilka następnych lat i to tylko w wyjątkowych jak to wtedy określano „*odświętnych i uroczystych sytuacjach*”. Dopiero później zdecydowano, że możemy też je wykorzystywać ale w trakcie spotkań mistrzowskich. Przypuszczam, że dzisiaj wielu wyczynowych

sportowców opływających w luksusie, to co napisałem może nie tylko dziwić, a nawet wywoływać też u nich pewne niedowierzanie. Absolutnie się jednak temu nie dziwię.



Zdjęcie z pochodu 1 Maja 1954. Defilada utrwalona na ulicy Czerwonego Zagłębia w okolicy dworca kolejowego. Od lewej: w białych koszulkach sportowych maszerują - Urszulka Barańska, NN. W tyle od lewej w dresach sportowych: Barbara Legawiec (w okularach przeciwsłonecznych), Krzaczek (imię?), NN. W tyle w bluzach z dresu i białych spodniach, od lewej: - Józef Deżakowski, Przemysław Jeziorowski, Legawiec (imię?). Jeszcze bardziej w tyle z chorągwią białą – symbolem Włókniarza – Artur Będkowski, a za panem Przemysławem Jeziorowskim - Janusz Maszczyk i NN (dobrze mi wtedy znany mieszkaniec z Placu Schoena; członek zarządu KS. „Włókniarz”).



Zdjęcie z 1954 roku. Ten sam fragment defilady co wyżej, ale utrwalony na zdjęciu w okolicy dietłowskiego osiedla mieszkaniowego przy dawnej ulicy Czerwonego Zagłębia, a obecnej ulicy 3 Maja. W pierwszym rzędzie od lewej: Barbara Legawiec, Krzaczek (imię?), NN. W drugim rzędzie od lewej: Józef Deżakowski, Przemysław Jeziorowski, NN (pracownik „Poltexu”; członek Zarządu), NN (członek Zarządu), Legawiec (imię?). W trzecim rzędzie od lewej: Artur Będkowski, Janusz Maszczyk, NN (członek zarządu KS. „Włókniarz”).



Zdjęcie z 1954 roku. Ten sam fragment defilady co wyżej, ale utrwalony w okolicy dietlowskiego osiedla mieszkaniowego przy dawnej ulicy Czerwonego Zagłębia, a obecnie ulicy 3 Maja. Z flagami resortowymi „Włókniarz” od lewej maszerują: Jerzy Sprzączkowski, Andrzej Broen, Artur Będkowski, Janusz Maszczyk, NN (dobrze mi wtedy znany mieszkaniec z Placu Schoena; członek zarządu KS. „Włókniarz”).

* * * *

Jak zwykle prawda jednak tkwi w szczegółach. Każda dosłownie prawda o ile tylko jest przekazywana w formie obiektywnej. Dzisiaj więc już trudno dociec, czy w tej manifestacji 1 Maja, bądź co bądź ale wtedy jednak jednoznacznie politycznej, a nie o charakterze tylko wybitnie sportowej, Klub Sportowy „Włókniarz” wziął udział wyłącznie tylko z własnej inicjatywy, czy został przez władze polityczne miasta Sosnowca do tego zobligowany. Jedno jest pewne, że maszerujące w tym pochodzie znane mi bliżej osoby znałem tylko jako wyczynowych sportowców, bądź niektórych, czy niektóre, jako dopiero stawiających w tej profesji pierwsze kroki. Na tematy polityczne wśród sportowców bowiem się wtedy absolutnie nie dyskutowało. Natomiast o ile już dochodziło do konwersacji, to poruszano raczej tylko tematy związane z naszym codziennym życiem, naszymi troskami i osiągnięciami w życiu. Po prostu dominowały luźne, a nie polityczne przekazy. Większość moich klubowych koleżanek i kolegów, była wobec mnie jednak zawsze ustosunkowana życzliwe, co pragnę wyraźnie podkreślić. Natomiast z kierownictwem klubu raczej utrzymywałem wtedy stosunki całkiem luźne, związane tylko ze sportem. Z drugiej jednak strony trudno jest zajrzeć do serc i sumień dosłownie każdego człowieka i merytorycznie do tego jeszcze określić jaki był wówczas osobisty ich stosunek do narzuconej nam Polakom nowej i nieznannej nam dotąd ideologii. Jedno jest pewne. Chcieliśmy już wreszcie wszyscy, tak po prostu, jak to już po 1945 roku praktykowano na zachodzie Europy, zupełnie już normalnie żyć. Jeden z maszerujących wśród nas, był **Józef Deżakowski** – jak wspominał to później szeptem mój wujek, Mieczysław Doros – był ponoć nawet byłym **Powstańcem Warszawskim**. W 1944 roku został rozkazem Komendy Głównej Armii Krajowej zobowiązany do pozostania w gruzach Warszawy do czasu aż do niej wkroczy Armia Czerwona. Podobno tkwił w gruzach Warszawy z radiostacją do 1945 roku, a później ukrywał swą tożsamość w Sosnowcu. Czy te szeptane informacje polegały jednak na prawdzie obiektywnej, to tego dzisiaj trudno dociec, gdyż w tamtych latach im człowiek mniej wiedział tym bardziej mógł się czuć bezpiecznie. Zbytnie gadulstwo zresztą nigdy nie popłaca. Nie zapominajmy też o tym, że były to jeszcze takie lata, które historia jednoznacznie określiła jako „okres stalinowski”, wyjątkowy okrutny i antynarodowy i antypatriotyczny. Tego pojęcia politycznego nie muszą dzisiaj

chyba nikomu tłumaczyć, gdyż wystarczy tylko zerknąć do publikacji książkowych, czy nawet tylko do artykułów opublikowanych na portalach internetowych, czy do Wikipedii, by z przerażenia zaniemówić. Ja i moja rodzina ten okres doskonale zapamiętaliśmy.

Ten wolny dzień od pracy zwany wówczas „Świętem Pracy” był niezwykle jednak wymownym, pełnym też wszędzie łopoczących tylko czerwonych flag i jednoznacznie brzmiących antynarodowo transparentów. Na jego tle reprezentanci KS. „Włókniarz” nieśli natomiast tylko flagi biało czerwone i resortowe – włókiennictwa. Czy to był więc wtedy tylko przypadek ?.....Czy raczej była to celowo podjęta decyzja przez kierownictwo Klubu Sportowego „Włókniarz” ?..... I jeszcze jedno pytanie, które mimo woli też ciśnie się na usta. Czy to była też wtedy pierwsza i jedyna komunistyczna manifestacja, w której wziął udział KS. „Włókniarz”, to tego też niestety ale nie wiem.

Pragnę jeszcze wspomnieć o jednym aspekcie ówczesnego życia społecznego, w większości przypadków nawet niedostrzegalnego w powojennych przekazach. W zdecydowanej większości klubów sportowych nie przywiązywano wtedy absolutnie żadnej wagi by zawodnicy zgrupowani w poszczególnych sekcjach podnosili swoje wykształcenie. Główny, o ile nie jedyny nacisk kładziono więc tylko na masowy rozwój sportu i rekreacji. To było szczególnie widoczne w tych klubach sportowych gdzie dominowały takie sekcje jak: piłka nożna, bokserska, czy kolarska i inne. Jak po latach z dumą to zawsze podkreślał **Edziu Chalcarz**, były mój przyjaciel z Pogoni, to w KS. „Stal” Sosnowiec poza nim, żaden inny z piłkarzy nożnych nie dysponował dyplomem ukończenia studiów wyższych. A Edziu w tym przypadku był nietuzinkowym piłkarzem nożnym, gdyż reprezentował wtedy klub na pozycji obrońcy. Według jego przekazów ponoć w tym klubie sportowym, byli natomiast i tacy co nie ukończyli nawet szkoły średniej. Edek kosztem treningów uzyskał wtedy dyplom ukończenia studiów wyższych w katowickiej Wyższej Szkole Ekonomicznej. Zupełnie natomiast inaczej to zagadnienie kształtowało się w KS. „Włókniarz”, gdzie tylko jednostki nie posiadały jeszcze wtedy dyplomu wyższej uczelni, natomiast co najmniej kilka osób, bądź już dysponowało tytułem naukowym doktora, bądź były to osoby w trakcie jego pozyskiwania.

* * * *

KS. „Włókniarz” dysponował też stadionem sportowym i halą sportową, którą jak już wyżej zasygnalizowałem była dawna ujeżdżalni koni państwa Schoen. Historia stadionu sięga jeszcze okresu II Rzeczypospolitej Polski, gdy Ojczyzna nasza była wolna, niepodległa i suwerenna. W tamtych bowiem latach podjęto decyzję o budowie dwóch stadionów w dzielnicy Stary Sosnowiec. Miejszem budowli była jeszcze wówczas olbrzymia niezagospodarowana przestrzeń, obwarowana ulicami: Aleją Montwiłła Mireckiego, Józefa Piłsudskiego, Stanisława Moniuszki i Swobodną. Te stosunkowo wielkie połacie niezagospodarowanego jeszcze wówczas terenu podzielono, jak wtedy sądzono, na dwie równe powierzchniowo części. Część terenu obwarowana ulicą Józefa Piłsudskiego z przylegającym do niego ogródkiem jordanowskim (istniał jeszcze w latach 60. XX w.; obecnie kompletnie odbiega od pierwotnego), częścią ulic: Al. M. Mireckiego i Swobodnej została przeznaczona na **Stadion Miejski Komitetu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego (SMKWF i PW)**. Dopiero później okazało się, że teren przyznany SMKWF i PW jest znacznie większy niż tereny przyznane PKS. Natomiast na terenach obwarowanych ulicą Stanisława Moniuszki oraz częścią ulic: Swobodnej i Al. M. Mireckiego powstał stadion **Policyjnego Klubu Sportowego (PKS)**.



Źródło: www.fotopolska.eu

Powyżej zdjęcie z roku około 1936. Po lewej stronie boisko sportowe **Miejskiego Komitetu Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego**, a po 1945 roku wielozadaniowy stadion **K.S. „Włókniarz”**. Po prawej poza widocznym płotem, zwanym wtedy parkanem, stadion **Policyjnego Klubu Sportowego**, a po 1945 r. boisko piłkarskie **KS. „Czarni**.



Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygnatura: - 1-S -82

Boisko sportowe **Miejskiego Komitetu Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego w Sosnowcu**. Widok ogólny boiska w trakcie prac wykończeniowych – październik 1934 rok. Po 1945 roku stadion sportowy wielozadaniowy **Klubu Sportowego „Włóknierz”**.

9



Źródło: Narodowe Archiwum Sportowe, sygnatura: - 1 – S – 123

Budowa stadionu **Policyjnego Klubu Sportowego w Sosnowcu** rok 1933. Po 1945 roku boisko piłkarskie **KS „Czarni”**.





Zdjęcia wykonane współcześnie (rok?). Dawny stadion sportowy K. S. „Włókniarz” w Sosnowcu, przy Al. M. Mireckiego.

W środkowej części obydwu stadiony przedzielono drewnianym płotem na podwyższonej podmurówce, co jest jeszcze doskonale widoczne na pozyskanych powyższych dwóch zdjęciach. Od strony Al. M. Mireckiego płot w końcowej już fazie, zwany też przez niektórych parkanem, graniczył z piętrowym murowanym budynkiem. Określenie dokładnego terminu powstania tego budynku jest dzisiaj trudne do zrealizowania, gdyż ta budowla już nawet nie istnieje. Pamiętam jednak doskonale, że ten budynek stał jeszcze w latach 60. XX wieku. Bywałem w jego pomieszczeniach zresztą w latach 50. XX wieku tysiące, tysiące razy, stąd tak doskonale zapamiętałem jego wnętrza. W okresie II Rzeczypospolitej Polski do tego budynku od strony stadionu „Włókniarz” dobudowano jeszcze podłużny barak, co jest widoczne na jednym powyższym zdjęciu. Ten parterowy barak później znacznie skrócono.

W latach 40. XX w., w okresie okupacji niemieckiej, obydwu stadiony były miejscem niesamowitej wprost tragedii. Najpierw bowiem Niemcy zburzyli długi parkan jaki dzielił te dwa stadiony. Następnie na tym rozległym już terenie, co doskonale widać na jednym powyższym zdjęciu, w dniu 12 sierpnia 1942 roku dokonano selekcji kilkunastu tysięcy zapędzonych tam sosnowieckich Żydów. Już ten pełen tragedii temat wielokrotnie w swych publikacjach internetowych i w bezpośrednich rozmowach z sosnowieckimi historykami poruszyłem. Jednak żadna z tych osób, podobnie jak moje publikacje internetowe, nikogo nie zainteresowały. Absolutnie nikogo dogłębnie! Obecnie więc, z uwagi na obszerność tematyczną tego zagadnienia, w tym artykule tej tragedii żydowskiej nie będę więc jeszcze raz ponownie opisywał.

Po 1945 roku stadion „SMKWF i PW” oddano pod administrację **KS. „Włókniarz”**. Natomiast Stadion Policijnego Klubu Sportowego (PKS) użytkował **Klub Sportowy „Czarni”**. Przypominam sobie, że jeszcze w 1954 roku stadion KS. „Włókniarz” składał się z typowego trawiastego boiska piłkarskiego z dwoma metalowymi bramkami do piłki nożnej. Od 1959 roku zostanie też wytyczone prymitywne trawiaste boisko do piłki ręcznej od strony dzisiejszych krytych trybun. Później jego lokalizacja, jak mnie pamięć nie myli ulegnie jeszcze dwukrotnie nieznacznej

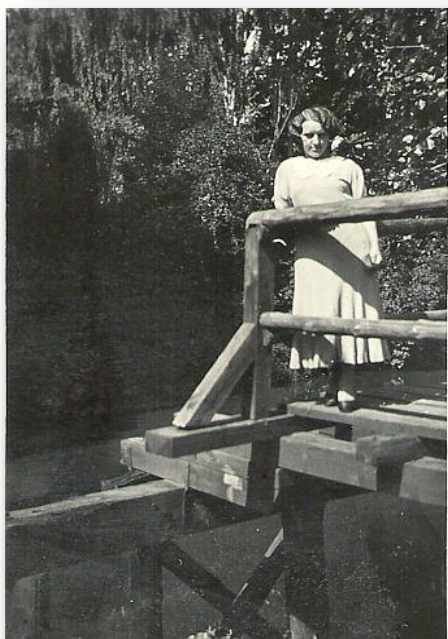
zmianie. Zachowano też stare jeszcze z okresu II Rzeczypospolitej Polski klepiskowe boisko do siatkówki od strony Al. M. Mireckiego, które było usytuowane już poza trzytorową bieżnią i otaczającą wtedy stadion drewnianą bandą, w pobliżu wymienionego wyżej budynku administracyjnego. Natomiast stare, jeszcze z okresu II Rzeczypospolitej Polski klepiskowe boisko do koszykówki, już zlikwidowano zaraz po 1945 roku. Stadion jak na tamte powojenne czasy wyposażono też w typową, klepiskowo - ceglastą czterystumetrową bieżnię. Jednak tylko 6 pasmowa bieżnia, na 100 metrów, znajdowała się od strony dzisiejszych trybun i od strony boiska KS. „Czarni”, a tak to była tylko trzytorowa. Od strony dzisiejszych trybun zabudowano też piaskową lekkoatletyczną skocznnię (skok w dal, trójskok wzwyż) oraz od strony Al. M. Mireckiego, na trawiastym boisku, jednak już poza bramkami do piłki nożnej, znajdowały się dwie prymitywne rzutnie: do pchnięcia kulą i oddzielną do rzutów dyskiem i młotem. We wspomnianym budynku administracyjnym na piętrze zamieszkał niezwykle sympatyczny i bardzo pracowity gospodarz klubu, wraz z żoną i dwójkiem dzieci (dziewczynka i chłopiec; na piętrze o ile dobrze pamiętam były tylko dwa pomieszczenia mieszkalne i jakaś część gospodarcza). W tym administracyjnym budynku na parterze znajdowały się dwie prymitywne szatnie dla sportowców, męska po prawej stronie i damska po lewej. W każdej szatni na omalowanych białą cynkową, czy wapnem ścianach, zainstalowano na długiej desce prymitywne wieszaki, a pod nimi na podłodze stały dwie proste drewniane ławy. W tym budynku na parterze, pomiędzy szatniami, umieszczono też toporny, zardzewiały prysznic i typowe jak na tamte czasy, wieczne niedomyte WC. W parterowym baraku, przynajmniej po 1950 roku, mieścił się natomiast magazyn gospodarza oraz pomieszczenia na sprzęt – głównie lekkoatletyczny. Często te prymitywne gospodarcze pomieszczenia, wypełnione sprzętem sportowym, gdy była potrzeba to zamieniano też na szatnie, bądź dla chłopców, bądź dla dziewcząt.

* * * *

Klub Sportowy „Włókniarz” dysponował też wówczas halą sportową, którą była dawna ujeżdżalnia koni państwa Schoen, stojąca na bulwarach nadrzecznych Czarnej Przemszy, na tak zwanym „Placu Schoena”. Po przyznaniu jej Klubowi Sportowemu „Włókniarz” przystąpiono więc pośpiesznie by ją dostosować do uprawiania wyczynowego sportu, wyłącznie jednak do takich dyscyplin jak do lekkiej atletyki, koszykówki i piłki ręcznej, co się w praktyce raczej w 100% nigdy absolutnie nie powiodło. O ile bowiem w pewnym tylko, ograniczonym stopniu spełniała wymogi do uprawiania niektórych dyscyplin z lekkiej atletyki i to wybitnie tylko w formie treningowej, to w przypadku koszykówki i piłki ręcznej, była już obiektem wybitnie prymitywnym i kompromitującym nas sportowców i Sosnowiec w oczach nawet naszych najbliższych sąsiadów z Katowic. Odziedziczona przez KS. „Włókniarz” dawna ujeżdżalnia koni, jak na tamte powojenne czasy, z zewnątrz w zasadzie prezentowała się okazale. Stanowiła bowiem architektoniczną bryłę w stylu „muru pruskiego”, ze stosunkowo jednak dużą przewagą elementów drewnianych. Szczególnie elementy drewniane dominowały jednak w zabudowie wewnętrznej. Jak na tamte biedne sportowe lata była największą powierzchniowo i gabarytowo halą sportową o nawierzchni przypominającej klepisko ceglasto – kortowe nie tylko w Zagłębiu Dąbrowskim ale i drugą co do wielkości w naszym województwie. Mimo pewnych zalet, nie mogła jednak absolutnie w żadnym zakresie konkurować z elegancką i typową sportową halą katowicką jaka była usytuowana przy dawnej ulicy gen. Karola Świerczewskiego, a dzisiejszej ulicy Raciborskiej (obecna hala AWF Katowice), największą wówczas w województwie typową halą sportową o identycznej początkowo nawierzchni jak w Sosnowcu. O ile mnie pamięć nie zawodzi, to w latach 60. XX wieku klepisko w hali AWF w Katowicach już pokryto jednak parkietem. Jeszcze raz jednak zdecydowanie podkreślam, że odziedziczona ujeżdżalnia koni jako obiekt sportowy, nawet jak na tamte powojenne czasy, była budowlą prymitywną i kompromitującą sportowców z Sosnowca w oczach przybyszy.

Zewnętrzna elewacja tej schoenowskiej ujeżdżalni koni swym architektonicznym wizerunkiem i oryginalną zabudową oraz częściowym zawieszeniem konstrukcji budynku ponad rzeką Czarną

Przemsza, prezentowała się niezwykle malowniczo. Bowiem od strony nieuregulowanej jeszcze wówczas rzeki „przyklejony” był do hali na całej jej długości potężny wymiarowo i tonażowo drewniany pomost, a obok niego ciągnęła się jeszcze bardziej masywna drewniana kryta widownia, ta sama zresztą jak w dawnej ujeżdżalni koni.



Zdjęcie rodzinne. Bulwary nadrzeczne na Placu Schoena. Od strony nieuregulowanej jeszcze wówczas rzeki Czarnej Przemszy „przyklejony” był do hali sportowej drewniany pomost. Ten pomost był tak atrakcyjny fotogenicznie, że niejednokrotnie wykorzystywano go jako tło do pamiątkowych zdjęć rodzinnych.

Zewnętrzne potężne drewniane filary tego pomostu były głęboko wbite w dno jeszcze wówczas piaszczystej i w miarę też czystej rzeki, co częściowo widać na powyższym rodzinnym zdjęciu. Wyjątkową ozdobą tego pomostu stanowiła wtedy sprawna jeszcze pruska ręczna pompa ssąco tłocząca, która jeszcze nie tak dawno temu czerpała z rzeki wodę krystalicznie czystą celem napojenia spragnionych koni. W komunizowanym już jednak na gwałt Sosnowcu stanowiła nie tylko śmietnikowy relikwitu dawnego kapitalistycznego świata, ale niemile widzianą też jego pełną „dobrobytu burżuazyjną” wizytówkę. Nie chroniona więc przez nikogo i nie konserwowana, stopniowo pokrywała się więc też brudem i ulegała systematycznej dewastacji. Po jakimś czasie, ku memu zaskoczeniu i zdziwieniu, zamiast trafić do muzeum, to zabytkową pompę „fachowcy” z Intertexu” wyrzucili na fabryczny śmietnik. Lub po prostu delikatnie określając ktoś się nią zaopiekował. Sama powierzchnia hali sportowej odpowiadała wielkości dzisiejszego pełnowymiarowego boiska do piłki ręcznej. Była więc jak na tamte, pełne niedostatków lata stosunkowo duża. Przypominam sobie, że do hali z zewnątrz prowadziły, aż dwa ogromne, identyczne wejścia. Pierwsze wejście umieszczone na

zewnątrz tej ogromnej gabarytowo hali, stanowiła ogromna dwuskrzydłowa brama, kiedyś przeznaczona wyłącznie tylko dla koni, z wmontowanymi w nią małutkimi fikuśnymi drewnianymi drzwiami, służącymi w tym konkretnym przypadku jedynie jako przejście dla ludzi. Poza wejściem ciągnął się kilkumetrowy, szeroki od 3 do 4 metrów hol. Dopiero na jego końcu mieściła się druga z kolei już brama, wręcz bliźniaczo podobna do tej zewnętrznej. Ta jednak zamykała już wymieniony ogromny klepiskowy hol od żwirowej nawierzchni hali, dawnego klepiska, po którym jeszcze kilkanaście lat temu kłusowały rumaki. Brama ta omalowana białym wapnem była najczęściej szeroko otwarta, szczególnie w trakcie organizowanych sprinterskich biegów na 60 metrów. Meta tego biegu kończyła się bowiem tuż, tuż, zaledwie kilka metrów poza nią, ale jeszcze na klepiskowym holu. Mimo swej zabytkowej przeszłości dla niektórych osobników stanowiła już jednak swoistą archaiczną zawalidrogę, gdyż niemal wiecznie, „samoczynnie” się otwierała. Nie pomagały nawet „fachowe” druczane zaczepy, gdyż „życzliwi” osobnicy zawsze je zrywali. Stopniowo więc była dewastowana, później na dobre całkowicie zlikwidowana. W przestrzennym klepiskowym holu, zaraz po lewej stronie od zewnętrznego wejścia (od strony rzeki), mieściła się ogromna szatnia, o powierzchni około 40 metrów kwadratowych, a może i ciut, ciut nawet większa. Przez lata zarezerwowana była wyłącznie tylko dla rodziny państwa Schoen i wybranych spośród elit Sosnowicy dostojnych osobników, a już podczas okupacji niemieckiej też dla elitarnej Niemieckiej Szkoły Policji, której siedziba mieściła się w barakach przy ulicy Będzińskiej. Tam gdzie później, czyli po 1945 roku wybudowano Technikum Energetyczne. Po prawej stronie holu, na górną kondygnację hali prowadziły solidne drewniane schody. Całe górne piętro zawieszono tylko ponad holem, składało się z kilku dużych pomieszczeń, przeznaczonych już wyłącznie tylko dla gospodarza tego obiektu (małżeństwo z małutkim dzieckiem). Do widowni, która była charakterystycznie zabudowana w formie długiego holu klatkowego, jak w tego typu obiektach gdzie ujeżdża się konie, prowadziły dosłownie tylko jedne, jedyne zewnętrzne drzwi. Tylko od strony głównego wejścia do ujeżdżali koni, na drewnianym solidnym pomoście, od strony rzeki Czarnej Przemszy. W końcowych fragmentach hali po prawej stronie, w tym konkretnym przypadku od strony bulwarów nadrzecznych, zabudowano po 1945 roku pełnowymiarową lekkoatletyczną piaskową skocznnię. Hala już w tym czasie była ogrzewana przez CO. Jednak nie zawsze skutecznie. Nitka sieci ciepłowniczej wiodła z pobliskiej Fabryki Wełnianej „Intertex” (dawna fabryka rodziny Schoenów). W hali, chyba jednak ku rozpaczy współczesnych urbanistów, zachowało się jednak jeszcze wiele starych, zabytkowych przeróżnych elementów, które kiedyś stanowiły typowe wyposażenie ujeżdżalni koni. Stopniowo więc, nasyłane z „Intertexu” fabryczne „ekipy remontowe”, te zabytkowe cacuszka demontowały i ponoć wyrzucały na śmietnik.

Wewnątrz hali, na samym jej końcu w ogromną drewnianą działową ścianę wmontowano już po 1945 roku normalne drzwi. Poza nimi ponoć nie tak jeszcze dawno temu mieściły się już tylko stajnie. Teraz poza małutkim wybetonowanym już holem, na wprost tych drzwi, mieściły się prysznic, a po dwóch stronach, jeszcze przestronne szatnie. Pomieszczenia te niezbyt jednak precyzyjnie wtopione w tę część urbanistyczną, przypominały więc jednak swym wyglądem dawne jeszcze stajnie typowo związane z ujeżdżalnią koni, a teraz tylko w pośpiechu i prymitywnie dostosowane na potrzeby sportu wyczynowego, głównie lekkiej atletyki, koszykówki i piłki ręcznej. Bardziej dociekliwi sportowcy dostrzegali nawet na ścianach zawieszono typowe końskie akcesoria, których nie zdążono jeszcze usunąć, a były jeszcze kilka lat temu nieodłącznym wyposażeniem stajni. Bardziej wrażliwi osobnicy jak twierdzili, to ponoć jeszcze czuli charakterystyczny koński zapach.

* * * *

To właśnie z tej prymitywnej klepiskowej hali sportowej, w październiku 1957 roku trafiłem na pierwszolicowe lśniące parkiety, do królewskiego miasta Krakowa, do KS. „Sparta” w Nowej

Hucie. Byłem wówczas w historii Sosnowca i Zagłębia Dąbrowskiego pierwszym koszykarzem, który dostąpił tego zaszczytu.



Komunikat prasowy z 1958 roku – „Wiadomości Zagłębia”

Dziękuję bardzo serdecznie jeszcze raz za możliwość bezpłatnej publikacji zdjęć: Fortoplsce.eu i Narodowemu Archiwum Cyfrowemu w Warszawie.

Pierwszy raz powyższy artykuł pod tym samym tytułem został upubliczniony we wrześniu 2015 roku. Obecnie jest to więc jego już druga wersja znacznie jednak poszerzona o nowe pozyskane fakty.

KATOWICE, PAŹDZIERNIK, 2023 ROK

JANUSZ MASZCZYK